Rok III.

Nr. 26. Nr. 26.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 28 czerwca 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

KRACH.

Jednego z pierwszych dni maja usłyszeli przerażeni Wiedeńczycy ponury głos giełdowego dzwonu, zwiastującego bankructwa. W czasach normalnych dzwon ten poruszał się bardzo rzadko i wydawał pojedyncze sygnały — w owym zaś dniu jęczał całą godzinę, odzywał się dni następnych i bije może w chwili, gdy piszemy te słowa. Głos jego to zwiastun nędzy i występków, jakie się z niéj rodzą, to klątwa dla tysiąców ludzi, co żyć chcieli i używać bez pracy — to tryumf zasady moralnéj, która z najtrudniejszych opałów zawsze wychodzi zwycięzko.

Wielkie przesilenie finansowe, które z Wiednia przeniosło się na tak ważne place targowe jak Frankfurt, Hamburg i Berlin a ztąd przenikło do prowincjonalnych miasteczek i nie oszczędziło ani jednego z giełdowych szulerów, którego stan bierny obliczają na miljardy — nie jest żadną osobliwością, jak wielu sobie wyobraża. Reakcje takie i ekonomiczne spustoszenia odbywały się zawsze, ilokrotnie produkcja wychodziła z normalnych swoich kolei. Nie sięgając po za wiek, w którym żyjemy, takie lata jak: 1815, 1825, 1836, 1846, 1857, 1866 wskazują, że przesilenia odbywają się dość regularnie co lat dziesiątek, że zawsze niemal przyczyną ich nie jest zawikłanie polityczne, lecz powody natury ekonomicznéj, dla których unormowania wystarczało zawsze zawieszenie ustaw bankowych, ograniczających wypuszczanie w kurs papierowych pieniędzy. W r. 1836 powodem przesilenia był kolejowy szwindel w Anglji, w 1846 wielki wwóz zboża, w 1866 klęska bawełniana — jedyne tylko olbrzymie przesilenie z r. 1825 przyczyną swoją przypomina obecnie panujący „Krach.“ Jak wówczas obniżenie dyskonta w banku londyńskim, rzuciwszy w świat masę kapitału, inaugurowało grynderską gorączkę, która popełniwszy niesłychane niedorzeczności (n. p. export masła en gros do Buenos Ayres) zakończyła się niesłychanemi téż bankructwami i zawieszeniem kredytu; tak teraz olbrzymie spekulacje illuzorycznemi wartościami, hyperprodukcja tychże i przecenianie wpływu owéj słynnéj 5-miljardowéj francuzkiéj kontrybucji na sprawy ekonomiczne narodów, tożsame choć nieco na mniejszą skalę wywołały rezultaty.

Jeżeli wiedeński „Krach“, grasujący w obecnéj chwili pośród nas, nie jest osobliwością jako fakt, ani oryginalnym pod względem powodów i formalnego objawu, to wyróżnia się od poprzednich tém, iż był przewidzianym z góry. Tamte przesilenia spadały niespodzianie jak grom z jasnego nieba, teraźniejsze zaś zapowiadano z góry tak jak n. p. zupełne zaćmienie słońca, lub ma-

jące w 1876 roku nastąpić przejście Wenery. Ta właśnie świadomość, iż katastrofa nastąpi niechybnie, ta niepowściągliwość rozgorączkowanych giełdowców nadaje ich praktykom ów charakter bestjalnego nałogu i sprawia, iż w obecnéj chwili pogromu nikt się nad nimi litować nie może.

Każden spekulant wiedział co mu grozi, a jednak kupował podczas hossy, płacił ze świadomością wyśrubowane kursa i wmawiał sam w siebie, że „Krach“ nastąpi dopiéro w chwili, kiedy on dyferencję zrealizuje i schowa do kieszeni. Tak wpadało tysiące ludzi w paszczę molocha chciwości — paszcza zamknęła się i stał się Krach.

Nie pierwszy to raz, jak wykazaliśmy datami, i nie ostatni, jak nam za to głupota ludzka, chciwość i pracowstręt przy nieumiarkowanych pragnieniach używania, poręcza. Próżniaków, pasożytów, wygodnisiów i pieczeniarzy nigdy na świecie nie brakło. W starożytności zasiadali z Timonem do uczty a napasłszy się do syta, krytykowali dla strawności dzieła Apellesa. W wiekach średnich jeździli od klasztoru do klasztoru, pasąc się w gościnnych refektarzach. W naszych czasach, gdy już niczego się darmo nie dostanie, gdy serce i worek nie stoją otworem a szarańcza szubrawców na rozdawanych przez stronnictwa synekurach pomieścić się nie może, nie pozostało im nic innego, jak kraść lub z głodu umierać — wynaleziono zatém legalny sposób grabierzy i nazwano go Gründerstwem. Na tém Gründerstwie stoi giełda, a na giełdzie królują szubrawcy wszelkich odcieni, od ministrów począwszy aż do ulicznych handelesów.

Gra na giełdzie i gründerstwo nie da się wykorzenić tak jak rozpusta, pijaństwo i t. p. nikczemne nałogi.

Wpływ kościoła i szkoły może tylko zmniejszyć ilość występnych, wytępić ich może tylko czas, w chwili, gdy tryumf Chrystusowych zasad sprawi, iż ludzie będą rozumniejsi i uczciwsi. Tymczasem należałoby się postarać, aby państwo rozpostarło nad giełdą i gründerami ściślejszą kontrolę — taką przynajmniéj, jaką rozciąga nad publicznemi domami i włóczęgami — aby opinja publiczna nie cierpiała w ministerjalnych krzesłach giełdowych opryszków, a nadewszystko by jednako traktowała obdzierających i obdartych, by nie kłaniała się chwilowemu powodzeniu, jeżeli wypiera się nieszczęścia.

Oto, zdaniem naszém, wszystko, co zrobić można i co zrobić należy. Lamenta i gorzkie żale są co najmniéj zbyteczne. Postęp i moralność stoją na zbyt silnych podwalinach, aby je jakikolwiek „Krach“ zdołał obalić. Mimo biesiadników Timona świetniał wiek Peryklesa, a wieki klasztornych pieczeniarzy były również wiekami genjalnych odkryć i wypraw, wiekami wielkich czynów i bohaterstwa. Nam się również nic nie stanie, choć kilka tysięcy nędznych oszustów byt utraci, bolejemy nad niewinnemi rodzinami, ale nie rozpaczamy nad upadkiem moralności i dobrobytu. Nawet straty, jakie w ostatniém przesileniu poniosło wielu członków naszego społeczeństwa, zupełnie nas nie przerażają, ufamy bowiem, że przykład ten powstrzyma drugich i umocni ich w wierze, iż jedyném źródłem szczęścia jest rodzina, a jedyném źródłem dobrobytu praca — praca codzienna, systematyczna i sumienna.

„Nur der erwirbt sich Freiheit wie das Leben,
Der täglich sie erobern muss.“

ODWROTNA STRONA MEDALU.

Kartka z życia

przez

Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Jeżeli okropnym był wypadek, który pozbawił przytomności pana Maurycego, okropniejszém nierównie było jego przebudzenie.

Przyszedł do siebie bardzo prędko, otworzył oczy, ale zamknął je pospiesznie, tak go przeraziło to co zobaczył.

Nie znajdował się już na schodach, ale w jakiéjś ciasnéj, chociaż schludnie utrzymywanéj izdebce. Leżał na czémś tak twardém i niedogodném, jakoby mu chciano dać wyobrażenie o przyjemnościach madejowego łoża. Dokoła niego stało kilka postaci, które mu się nie zdawały bardzo obiecującemi i sympatycznemi, — było to może uprzedzenie lub błędny pogląd pierwszego rzutu oka.

To jednak nie było błędem ani przywidzeniem, że jedną z tych postaci była stara, silnie zbudowana kobiéta. Wydała się ona panu Maurycemu wcieleniem wszystkich bajek o turystkach, lubiących odbywać wycieczki na Łysą górę. Byłby przysiągł, że jedno oko miała najmniéj pięć razy większe od drugiego, że miała rękawy zakasane, i że w jednéj ręce trzymała wielki kuchenny, świecący się, a więc doskonale zapewne wyostrzony nóż, z którym zbliżała się do niego, jak najwyraźniéj do niego.

Zakuckiego pan Maurycy wcale nie dostrzegł, i był najmocniéj przekonanym, że go nie było, choć zresztą w czasie owego chwilowego otwarcia oczu widział głów-nie ów nóż, przed jego blaskiem zamknął oczy coprędzéj, ale chociaż je zamknął, widział go jeszcze.

Nie obliczono dotychczas, ile razy szybciéj działa myśl człowieka zostającego w niebezpieczeństwie, od myśli tegoż człowieka kiedy się czuje bezpiecznym i spokojnym; faktem jest jednak niezawodnym, że w niebez-

pieczeństwie, kombinacje i przypuszczenia snują się w głowie z niewypowiedzianym i niepojętym pośpiechem, że człowiek, którego życie jest lub zdaje mu się, że jest zagrożonem, w jednéj sekundzie więcéj okoliczności rozważyć może, niżby ich w spokojnym stanie ducha w przeciągu kilku minut zdołał zestawić z sobą i porównać. Nie myśli on wtedy wyrazami, jak zwykle, ale pojęciami samemi.

W jedném téż mgnieniu oka przebiegły przez umysł pana Maurycego następujące pojęcia i przypomnienia:

Zakuckiego nie znam bliżéj... ma minę dosyć podejrzaną... nie pozwolił mi brać koni i służby... kazał wziąć z sobą dużo pieniędzy... zaprowadził na odludną ulicę... do domu, w którym nikt na dole nie mieszka... wbiegł pierwszy na schody, żeby dać znak... na schodach ktoś czekał z pałką... myślą, że mnie zabili, a gdybym się ocknął, gdybym się poruszył, gdybym dał znak życia, chcą dorznąć...

Z kombinacji tych faktów, nie rozum już ale instynkt pana Grzmockiego wyprowadził najprostszy wniosek:

— Krzyczeć na nic się nie zdało... na siłę z nimi walczyć niepodobna... trzeba udawać, że nie żyję... jeżeli mi się to uda, nie będą potrzebowali dorzynać... tymczasem może mnie co ocali...

Postanowienia, które sam instynkt zachowawczy nam nasuwa, są nadzwyczaj łatwe do wykonania, bo nie rozum ale ten sam instynkt bierze na siebie rolę wykonawcy, prawie bez współudziału woli. To jest jedyną przyczyną, że tylu ludzi, zostających w prawdziwém niebezpieczeństwie, potrafiło skutecznie udawać nieżywych, czego, wiedząc że niebezpieczeństwo jest pozorném, nikt zapewne, a przynajmniéj bardzo mało kto by dokazał.

Pan Grzmocki miał zamknięte oczy, nie robił najmniejszego poruszenia, oddech jego był nawet tak słaby i powolny, jak gdyby go wcale nie było.

Po chwili uczuł, na czole, w miejscu, w które był uderzony i gdzie mu dokuczał ból straszliwy, jakby dotknięcie czegoś bardzo zimnego, — i mimo tego dotknięcia nie drgnął.

Pod wpływem tego jakiegoś sztucznego zimna, ból w miejscu uderzoném zdawał się łagodnieć i ustępować powoli, skutkiem czego pan Maurycy doznał tak błogiego i przyjemnego uczucia, że mówił sobie w duchu:

— Jeżeli to jest pocałunek anioła śmierci, no, to doprawdy nie jest tak strasznie umierać...

Wrażeń piłowania noża po gardle nie uczuwał bynajmniéj, jak się tego czytelnik łatwo domyśli, wszystkie bowiem jego obawy nie były niczém więcéj, jak płodem rozdrażnionéj i wpływem gwałtownego uderzenia się w czaszkę na manowce popchniętéj wyobraźni.

Nie znajdował się on bynajmniéj w ręku rzezimieszków, lecz u poczciwych chociaż biednych ludzi. Jeżeli sofka, na któréj leżał, wydała mu się madejowém łożem, było to winą nie jéj, ale miękkiego wysłania mebli, na których zwykle siadywał, i do których przywykły jego kości. Sama w sobie, była ona najwykwintniejszym sprzętem i ozdobą poddasza, na którém się pan Grzmocki znajdował.

Stała wprawdzie nad panem Maurycym kobiéta z zakasanemi rękawami, trzymająca dość duży nóż kuchenny w ręku, ale ani jedno oko téj kobiéty nie było pięćkroć większe od drugiego, ani nożem swoim nie miała ona zamiaru wykonywać żadnych operacji rzeźniczych na żywém ludzkiém ciele. Na jedném jéj oku był przyłożony duży płat czarnéj kitajki, bo biedaczka cierpiała na nie i musiała mieć zasłonięte; to było powodem przywidzenia pana Maurycego. Co do noża, ten miał znaczenie patologiczne tylko; porwała go jedynie na to, aby go użyć jako tymczasowe lekarstwo. Wiedziała z doświadczenia i tradycji, że przyłożenie zimnego ciała do stłuczonego miejsca łagodzi ból, a że żelazo zazwyczaj jest zimne, więc go użyła i sprawiła naszemu bohaterowi tę ulgę, jaką uczuł i wziąć był gotów za pocałunek ducha, który mu na świat inny miał wskazywać drogę.

Zakuckiego pan Maurycy nie ujrzał, bo go rzeczywiście nie było. Spostrzegłszy omdlenie i upadek pana Grzmockiego, pan Kwiryn przeraził się niezmiernie, zostawił go na opiece tych, do których go przyprowadził i natychmiast pobiegł po doktora.

Mieszkańcy dworku, nieuprzedzeni przez pana Kwiryna o mającéj nastąpić wizycie bogacza, nie wiedzieli zupełnie kogo mieli u siebie i odwiedziny, które im pomoc przynieść mogły, poczytywali za najście nieszczęścia. Byli to jednak ludzie widocznie poczciwi, bo nie sarkali na chorego gościa, który mógł się dla nich przez czas jakiś stać przykrym w domu ciężarem.

Tylko kobiéta, która przykładaniem noża do stłuczonego miejsca łagodziła ból pana Maurycego, mruczała pod nosem przysłowie:

— Gdzie cienko, tam się rwie...

Kobiétą tą była nie gospodyni domu ale służąca, służąca, która nie szukając lepszego losu, nie chciała opuszczać państwa, których chléb jadła w lepszéj doli; wolała dzielić z nimi niedostatek, niż tych których kochała pozostawić w nieszczęściu bez pomocy i wyręki.

Przykrość i mogące z niéj wypłynąć wydatki dla państwa bardziéj ją bolały, niż ich samych.

Lokatorami poddasza, będącego widownią téj sceny, byli małżonkowie Żaliccy. Byli to młodzi jeszcze ludzie, do niedawna bardzo dostatni, których w ostatnich czasach, szereg nieszczęść, zwykłym obyczajem spadających jedno po drugiém, przygniótł i powalił w błoto najostatniejszéj nędzy.

Wszystko, jak się zdawało, sprzysięgło się na pana Łukasza Żalickiego i jego żonę. Proces, grad, pożar, wylew rzeki, kradzież, pomór bydła, poręczenie za grubą sumę, którą pożyczył człowiek niesumienny i nie myślący nawet o oddaniu, nagły spadek papierów, w których ulokowali dużo grosza, konieczność sprzedania ostatniéj wioski i ruchomości za bezcen i przeniesienia się do miasta, choroba naprzód męża a potém żony, niemożność znalezienia zajęcia z powodu braku stosunków, grube procenta od bagatelnych sumek, pożyczanych po wyczerpaniu ostatniego grosza, procenta płacone daremnie w myśli uratowania zastawów, które późniéj, gdy i na opłatę procentów nie starczyło, poprzepadały, a wreszcie pospolita niegodziwość ludzi pieniężnych, mających u siebie szczątki ich mienia i ociągających się z wypłatą, — to był kalendarz ich miodowego miesiąca i kilku następnych lat pożycia.

Nie ma podobno tak biednych ludzi na świecie, żeby nie mieli jakich widoków i nadziei; tak samo téż było z Żalickiemi. Nadzieje ich były bardzo wielkie, krociowe i tém ironiczniéj odbijały od ich obecnego położenia.

Proces, który był początkiem ich zniszczenia, powstał z obligu, który wystawił ojciec pana Łukasza, zmarły na kilka lat przed ich pobraniem się. O obligu tym nikt nie wiedział, posiadacz jego zgłosił się ze swemi pretensjami dopiéro po upływie kilkoletniego czasu, na drugi czy na trzeci dzień po ożenieniu się pana Łukasza, i zaczął dochodzić sądownie nietylko swéj należności, ale i zaległych procentów. Ustąpić i zadośćuczynić temu wymaganiu, znaczyło tyle co samowolnie wyzuć się z całego prawie majątku. Żalicki byłby się zapewne na to zdecydował, gdyby miał przekonanie, że ojciec jego mógł wystawić podobny oblig inaczéj jak w skutek podejścia i oszustwa. Zaczął więc sądownie udowadniać, że oblig nie jest legalny i wwikłał się w sprawę bardzo długą, wymagającą znacznych nakładów. Jakkolwiek Żalicki ich nie szczędził, po-

siadacz obligu, mając za sobą formalny dokument, wygrał w pierwszych instancjach i został wprowadzony w posiadanie większéj części majątku Żalickich. Proces się jednak nie skończył i sprawa ta stała już teraz tak, że nadzieja wygranéj, nadzieja odzyskania wszystkiego była bardzo uzasadniona, trzeba jednak było nakładu i to wcale znacznego nakładu, ażeby ją daléj prowadzić. Na te nakłady już nie wystarczało Żalickim.

Korzystając z ich nieszczęśliwego położenia, spekulanci, wietrzący dobry interes, nieraz już proponowali panu Łukaszowi odstąpienie im tego procesu na własność, ale zapłata, jaką ofiarowali była raczéj szyderstwem z ich nieszczęścia, niż zapłatą. To co dawano, mogło tylko chwilowo zabezpieczyć od niedostatku rodzinę, która późniéj musiałaby popaść w jeszcze większą, tém gorszą, że już beznadziejną nędzę. To też Zakucki wszelkiemi siłami odwodził pana Łukasza od przyjęcia téj propozycji, ku czemu w przystępach rozpaczy zdawał się skłaniać, skołatany prześladowaniem losu biedak.

Wspomnieliśmy, że Żaliccy stanowili rodzinę. Tak jest, była to już rodzina.

Przez lat parę państwo Łukaszostwo nie mieli dzieci, — dopiéro gdy popadli w ostatnią nędzę, gdy nieraz brakowało na chléb powszedni, pani Łukaszowa została matką. Było to na kilka tygodni zaledwie przed wypadkiem, który opisaliśmy powyżéj Dwojgu ludziom nie mającym co włożyć do ust, przybyło do żywienia małe, niewinne stworzenie, synek, który — jak powiadają nieraz ludzie, patrząc na takie drobne istotki, od kolebki skazane na cierpienia, — „nie prosił o życie.“

I żebyż tylko jeden synek!

Nic się tak łatwo z sobą nie kojarzy jak bieda z biedą, notabene jeśli obie biedy prawdziwe. Do biednych i na krawędzi rozpaczy stojących Żalickich przyplątała się kuzynka, nie mająca nic oprócz lat siedemnastu i nadziei, że nic mieć nie będzie, jeżeli jéj los, któremu się rzadko teraz przytrafiają takie kaprysy, bogatego małżeństwa nie napędzi.

Było to dziewczę z tych wybranych, których Pan Bóg stworzył tylko tyle, aby przecież po jednéj na każdą powieść wystarczyło. Anielsko dobra i zachwycająco piękna, ale bez hypoteki najmniejszéj. Na imię jéj było Franciszka. Gdyby miała choć kilkakroć posagu, nazywanoby ją Fanny lub jak inaczéj romansowo, ponieważ nic nie miała, zwano ją po prostu Franusią. Gdyby miała owe nędzne parękroć, byliby ją pochwycili z otwartemi rękoma jacy bogatsi krewni, ponieważ nic nie miała, przyszła na ręce państwa Łukaszostwa, biedaków jeszcze większych niż ona, bo ona miała przynajmniéj wiarę w przyszłość, im zaś i téj już nie stawało.

Na tydzień może przed katastrofą pana Grzmockiego, zjechała do miasta, prosto na poddasze Żalickich.

— Ciotka moja umarła, — rzekła wchodząc, — opłakałam ją, bo poczciwa była staruszka... co zostało po niéj na pogrzeb poszło... zostałam bez dachu i opieki... Pukałam do wujostwa Grzębickich, powiedzieli, że mieszkanie mają za ciasne, więc mnie przyjąć nie mogą, i nie mogą mi dopomagać, bo nie powinni krzywdzić własnych dzieci. Oprócz nich wyście mi tylko pozostali. Nie mam już nikogo więcéj na świecie. Ale wy macie serca, nie będziecie chcieli, żebym poszła do służby. Zresztą, jeśli mnie przytulicie do siebie, ciężarem wam przecież wielkim nie będę... umiem szyć...

Zdawało się poczciwéj dziewczynie, że jedna igła w mieście daje tyle chleba, ile go zjedzą jedne usta!

Żaliccy nie odepchnęli krewniaczki. Był na poddaszu alkierzyk mały, tam postawiono jéj łóżeczko.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Gospodarka niemiecka

w tak zwanych

Prusach południowych.

Przyczynek do dziejów ojczystych z ostatnich lat XVIIIgo wieku.

Radzca nadworny Dr. Wilhelm Dorow zamieszcza w drugim tomie dzieła swego „Erlebtes*) aus den Jahren 1813—1820“ pod ogólnym tytułem „Polska za panowania Fryderyka II i Fryderyka Wilhelma II“ rozprawę radzcy wojennego von T......, którego zamilczoném nazwiskiem jest niezawodnie von Triebenfeld.

O téj to rozprawie, gdy ją r. 1816 w Berlinie Dorow zakomunikował**) księciu Hardenbergowi, wspomniony kanclerz wyraził swe zdanie, że „pomimo wielkiéj szorstkości, mimo wielu nieprzyjaznych i zmyślonych nawet podań, jest ona przecież niemniéj wiekopomną pamiątką ówczesnych pruskich rządów i zasad, wedle których rząd w czasach owych postępował, i że jako taka zasługuje ona właśnie, aby nie zaginęła, pouczającym będąc przykładem dla krzykaczy, wiecznie niezadowolonych z tego, co w państwie pruskiém się dzieje.“

Co książę Hardenberg w rozprawie radzcy wojennego uważał za zmyślone i nieprzyjazne rządom pruskim, to nam, doświadczającym na sobie od stu lat przeszło owych błogich rządów niemieckich, o które dobijali się niektórzy z naszych przodków, przedstawia się w inném nieco świetle. Radzca wojenny bowiem von T..... był Niemcem; pozyskał dla siebie oraz pomocnika swego Wilhelma Dorow plenipotencję królewską, wydaną w Cieplicach***) w dniu 28 września 1813, która ich upoważniała do zbierania w Księstwie Warszawskiém dobrowolnych datków dla wojujących podówczas wojsk króla pruskiego. Tego rodzaju patrjota mógł, powodowany względami osobistemi, przedstawić prawdę w jaskrawych nieco kolorach, nie widzimy jednak żadnych przyczyn, dla którychby miał rozmyślnie kłamać lub nieprzyjaźnie występować przeciw rządom własnym. Wspomniana owa powyżéj praca jego brzmi w przekładzie, jak następuje:

Projekt sposobu, w jaki Prusy zużytkować mogą Polskę i wydobyć z niéj przynajmniéj swe procenta za wypożyczone dwadzieścia siedm miljonów talarów.

„Czyż Naród nie woli być rządzonym przez swoich i wedle właściwego sobie sposobu, niżeli przez urzędników cudzoziemców, którzy kosztem ogółu starają się nabywać majątki w kraju, dokąd przybyli i którzy przynosząc ze

*) Leipzig, 1843, J. C. Hinrichs, II, str. 1! sqq.

**) Ibid, str. 23.

***) Ibid, str. 15.

sobą obce sposoby rządzenia, panują w nim nieprzyjaźnie i bez wszelkiego tegoż współudziału?"

Goethe.

Jak powszechnie wiadomo, Polska przez długie wieki nie była nigdy połączoną z domem Brandenburskim. — Przeciwnie, między obu temi krajami, między ich mieszkańcami raczéj panowała zawsze odwieczna narodowa nienawiść. W niezmiernie więc odległych czasach utrzymywano pewien rodzaj handlu z nieokrzesanym tym narodem, jak z owemi na wpół koczującemi ludy; zawsze jednak Niemiec w razach takich wychodził na swoje.

Fryderyk Wielki dopiéro, przyjrzawszy się nieco bliżéj temu narodowi, umiał wyciągnąć z owego kraju wszelkie możebne znaczne korzyści, nim wreszcie, w skutek kilkakrotnych podziałów, Prusom przypadła niemała część Polski. Wówczas Wielki i Mądry król Fryderyk obrócił natychmiast znaczne sumy na rzecz zajętych przez siebie okręgów i za pomocą ruchliwéj działalności wysłanych tam osób stworzył z powierzonéj sobie dzielnicy iście szczęśliwy (?) kraik. Podobnego przecież losu nie doznali już Polacy, który w czasach drugiego i trzeciego Polski podziału dostali się pod panowanie Fryderyka Wilhelma II. Dobrotliwy ten monarcha pragnął wprawdzie najlepszego bytu zarówno dla swych nowych jak i dawniejszych poddanych, ale wspaniałomyślne zamiary jego spełzły na niczém z powodu zbytecznego zaufania, jakiém najzacniejszy ten w świecie monarcha zaszczycał swoich ministrów. Rabulistyczne*) postępowanie urzędników sprawiedliwości zamięszało wszystko a nawet doprowadziło Polaków do buntu, do niedorzeczności.

Najsmutniejszym wypadkiem, jaki dotknął tę prowincję było, że minister von Voss został jéj administratorem. — Władzca ten rozporządził natychmiast klasyfikację dóbr czyli wszystkich gruntów i powierzył dozór nad wykonaniem tegoż rozkazu tajnemu radzcy finansów Schulz'owi. Był to środek jaknajzupełniéj odpowiedni celowi i musiał koniecznie poprzedzać rzeczywistą organizację kraju. Gdy przecież, jak to się w tym wypadku zdarzyło, chciwi zysków naczelnicy rej wodzili i otaczali się wyrzutkami społeczeństwa, przetoż nietylko nie dopięto dobrego celu, ale rzucono tém nawet pierwsze ziarno do krótko potém wybuchłego powstania. — Polak, nim się zapoznał z pruskiemi rządy, miał jak najświetniejsze wyobrażenie o wszystkich kraju tego konstytucjach i nie przypuszczał nigdy, by można było przekupić pruskiego urzędnika; od chwili przecież, gdy komisarze klasyfikacyjni okazali się nietylko sprzedajnymi, ale nadto jawnie oddawali się pijaństwu i wszelkiego rodzaju rozwiozłości, Polacy pogardzając nimi, pogardzili oraz nowym rządem i przysięgli mu zemstę. Zbyt bo też uderzającém było postępowanie tych ludzi; dawniéj płacili Polacy od swych dochodów dziesiąty procent, podczas gdy wedle komisji klasyfikacyjnéj Voss'a czyli Schulz'a zaledwie wyciągniono, z wyraźną rządu krzywdą, podatków pięć od sta z wielu dóbr, tam naprzykład, gdzie taki radzca wojenny von Reisewitz i inni jemu podobni klasyfikowali. Ażeby jednak zamydlić oczy łaskawemu monarsze, rozpoczęto, na tajny wniosek radzcy wojennego Noldichen, pracę tę od upiększania miast. Dobry król dostarczał na budowle i tym podobne cele pieniędzy, które następnie przywłaszczali sobie urzędnicy sprawiedliwości i finansów; Polak zaś mało lub nic nie oglądał z owych królewskich darów, to też z krwawém sercem patrzał on, jak na miejscu, gdzie niegdyś on i jego protoplaści rządzili, poczynały się wznosić pałace jego wrogów, którzy od téj chwili przyczepiali się do niego jak wampiry.

Jeżeli wielką już była chciwość wspomnianych powyżéj komisarzy i finansistów, to wszelkie przekraczało granice postępowanie urzędników sądowych. Nie byli to sędziowie ani obrońcy prawa, którzyby oświecali lud ciemny, bronili niewinnego, otaczali opieką prawa własność wdów i sierot, chronili ich przed napaściami chciwych zysku pieniaczy, — nie, była to armja cała bezwstydnych stworzeń, stek łotrów, podżegających wzajem na siebie ludzi; umieli oni zręcznie gmatwać i wikłać sprawy i tak je okropnie przewlekać, że wreszcie dzielili się sami pozostałém mieniem ubogich nawet wdów i sierot.

Ubogimi, nagimi niemal przybywali tu ci, którym pan von Goldeck dawał urzędy w Polsce, czyli raczéj w prowincji Warszawskiéj. Za nimi szła armja komisarzy sprawiedliwości, obdartych również i obszarpanych, a pochód ten uzupełniała cała sfora podrzędnych urzędników o zapadłych oczach i wyschłych kadłubach. Posłannikami sprawiedliwości, którą odtąd obiecywano wymierzać każdemu, byli ci właśnie obszarpani adwokaci; umierając prawie z głodu, zaciągali oni pożyczki od żyda, (który zwykł zawsze i wszędzie pieniądz swój narażać; — ten żyd, który niegdyś w Polsce był zaledwie pół-człowiekiem i któremu również jak poddanemu i chłopu nie wolno było skargi zanieść na szlachcica, pilnie nadstawiał ucha na słowa owych obdartusów, gdy szarlatańskim tonem przyobiecywali mu złote góry; zwłaszcza zaś nęciło go to, że odtąd żydzi staną się tém, czém była dotąd szlachta. Natychmiast też wytoczyli żydzi i niemieccy chłopi całe setki procesów swym panom; adwokaci napełnili sobie sakwy; wówczas to biegli do szlachty, odkrywali jéj mniemania żydów i chłopów i przysięgali, iż szlachcie zachowają należne jéj prawa. Oburzony taką okropnością szlachcic, wołał nieba i piekła o pomstę, oddawał niemniéj przecież rabulistom swe złoto, pojazdy i wszystko wreszcie co miał droższego, — adwokat podzieliwszy się tém z swymi przyjaciołmi i pomocnikami, spisywał nakoniec wyrok na korzyść tego, który najwięcéj poświęcił. Wynikiem tego rodzaju postępowania było, że adwokaci i ich koledzy w pierwszém już ćwierćroczu posiadali piękne meble, pojazdy, na najwytworniejszéj jadali porcelanie lub też na stołach swych zastawiali srebrne naczynia, że wreszcie żyli w nieustanném a tak im miłém opilstwie. Dla zapewnienia zaś prawomocności swym grabieżom, postarali się o wspólników w berlińskim trybunale. Tak naprzykład pozyskał dla siebie niejaki Kütz radzcę trybunału von L...... i von J...... w Berlinie; każdy z nich również miał tam swoich popleczników; to też wychodziły ztamtąd na postrach ludzkości uchwały i wyroki, przed któremi dreszcz i trwoga zdejmowały człowieka. Temu tylko udawało się tam wszystko, kto posiadał pieniądze; adwokat pojechał z klientem swoim do Berlina, polecił osobę jego, dukaty i klejnoty, a proces został na wieki rozstrzygniętym na korzyść klienta. Teraz to dopiéro utarła się droga całéj téj szajce; niebawem też to jeden to drugi z nich przeszedł z filuterstwa do prawdziwego już oszustwa; pieniądze zwodzonych bezustannie szlachciców, żydów i chłopów płynęły ciągle do kieszeni tych łotrów; tém jednak już się oni nie zadawalniali, — zapragnęli majątków dziedzicznych; a i to im się udało, wkrótce bowiem nie było w biurach sądowych nikogo, począwszy od naczelnika a skończywszy na ostatnim posługaczu, któryby nie posiadał rozległych dóbr a przynajmniéj kilku domów, ogrodów, lub tym podobnych znacznych nieruchomości; — najwymowniejszym tego dowodem są istniejące jeszcze po dziś dzień księgi hypoteczne. One nawet potrafią coś powiedzieć i o tych, którzy w miejscu dóbr posiadali gotówkę i zręcznie nią obracać umieli;

*) Rabulista oznacza krętacza sądowego.

(Przyp. Red.).

tak naprzykład był tu pewien radzca regencyjny, obecnie radzca sądu Najwyższego*) Sch......, który zebrawszy około 36.000 talarów, pożyczył je niejakiemu B...... i na Sulisławicach umieścił, zkąd jednak chyba już nic z téj sumy nie zobaczy. Dla istotnego patrjoty, dla honorowego, uczciwego człowieka było to oburzającém nad wyraz widzieć, jak na tak zwanych tranzakcjach świętojańskich radzcy nawet kręcili się po rynku w swych paradnych mundurach kupcząc i szachrując pieniędzmi. Po jednéj stronie wziętego na cel i już na wpół złupionego polskiego szlachcica zawisł jak wampir taki urzędnik, po drugiéj zaś żyd, by im już zdobycz ujść nie mogła; takie sępy nie chybiały nigdy swego celu.

Tymczasem, o czém i tu wzmiankę uczynić należy, upłynęło zaledwie półtora roku rządów pruskich, gdy Polacy odkryli słabe strony i poczuli na sobie samych chciwość pruskich urzędników, — wybuchło też powstanie. Wysłano czémprędzéj ze strony Prus i Rosji korpus wojska na powstańców, których gdy przywiedziono do ciszy, na nowo rozdzielono całą Polskę.

Głośno teraz skarżyli się Polacy na to najsroższe uciemiężenie, jakiego doznawali od ministra von Voss; skutkiem tych skarg odebrano ten wydział Voss'owi i powierzono go ministrowi, hrabiemu Hoym. Polaków ukarano kilkaset tysiącami talarów i ogłoszono ogólną dla nich amnestję.

Rzecz jasna, że za pomocą téj kary pieniężnéj trudno było Polaków doprowadzić do usposobienia bardziéj wierno-poddańczego niż dotąd, to téż Hoym był w nielada kłopotach, jakim sposobem wystarać się o pieniądze i zorganizować prowincję, a obok tego zadowolnić Polaków.

(Dokończenie nastąpi).

*) Kammergerichtsrath.

OBRAZKI LITEWSKIE.

Ze wspomnień tułacza

Sobarri.

(Dalszy ciąg.)

Na str. 415 czytamy: „nie lubił ich (Filaretów) poważny i mało mówiący profesor Jundziłł i pewno nie przez brak patrjotyzmu kandydatom do stanu nauczycielskiego, których był prefektem, zabraniał zapisywać się w ich księgę.“ — Mało znacząca ta powieść nie wartaby była zastanowienia, gdyby nie należała do mnogich filareckich baśni, które sprostować tu postanowiłem. — Towarzystwo Promienistych równie jak Filaretów było sekretne i mało komu znane z publiczności, nie mogłem więc bronić kandydatom stanu nauczycielskiego zapisywać do ich wielkiéj księgi i wstępować do towarzystwa, o którego istnieniu żadnéj nie miałem wiadomości.

Na str. 446 czytamy: „ponieważ Wyrwicz z urzędu doniósł Czartoryskiemu, że w stowarzyszeniu Promienistych zawiązało się towarzystwo tajne polityczne pod tytułem Filaretów... wyznaczyć musiał Czartoryski komisję do sprawdzenia denuncjacji, wszakże śledztwo poruczył zacnemu profesorowi Bojanusowi, który po krótkiém badaniu uznał całą rzecz za niegodną dalszych poszukiwań.“ Tu autor, czerpiąc wszystkie swe wiadomości z fałszywego źródła, dopuszcza się sprzeczno-mówności i staje się niezrozumiałym. — Pojąć bowiem nie można powodów, dla czegoby Czartoryski wyznaczając komisję do sprawdzenia denuncjacji Wyrwicza, poruczał śledztwo jednemu Bojanusowi. — Komisję tę, jak to dobrze wiadomo, składali: ks. Kłągiewicz profesor teologji, Łobojko literatury rosyjskiéj i Bojanus weterynarji profesorowie. — Ci działając wspólnie i współcześnie, jednomyślnie uznali rzecz całą za niegodną dalszych poszukiwań. — Przyznanie więc tego korzystnego dla Filaretów czynu jednemu Bojanusowi, ze złośliwém zamilczeniem dwóch innych członków, wyraźném jest pokrzywdzeniem historycznéj prawdy i odjęciem zaszczytu rzeczonym profesorom.

Na str. 450 kończąc relację o śledztwie Nowosilcowa i o wyroku najwyższym na Filaretów dodaje autor: „Wielu uczniów w ukazie nie wymienionych wzięto do wojska na prostych sołdatów“ itd.; ostatni ten dodatek jest zupełnie fałszywym. — Prócz wymienionych bowiem w ukazie Filaretów, żaden nie uległ jakiéjkolwiek karze, a témbardziéj żadnego nie skazano w sołdaty, co gdyby było, autor wymienić ich po nazwisku pewnieby nie omieszkał.

Lecz któż bez podziwienia i bez wzdrygnienia czytać może na str. 451 imie szanownego profesora Becu w liczbie tych urzędników, którzy wedle mniemania autora pomagali Nowosilcowi do odzierania uniwersytetu? Nie pojmuję przyczyny, dla któréj Filareci zmarłego nawet tego profesora z taką zawziętością prześladują. — Mickiewicz w pierwszéj części dziadów swoich już go dotykał; w trzeciéj części tych romantycznych marzeń, śmierć jego od piorunu karą Bożą nazywa, a Mochnacki już w poczet łotrów mających odzierać uniwersytet liczy. — Jedyną przyczyną Filaretów gniewu zdaje się być podejrzenie o uczestnictwo tego profesora w komisji, która pod prezydencją Nowosilcowa do badań w sprawie Filaretów wyznaczona była, powód zaś ku temu podejrzeniu był następujący:

August Becu, profesor fizjologji, skończywszy w uniwersytecie ustawami przepisaną służbę, przed końcem 1822 r. podał prośbę o uwolnienie siebie od służby i o pensję dożywotnią temiż ustawami zaręczoną. Ministerstwo narodowego oświecenia nie spieszyło się z rozwiązaniem téj prośby; a gdy w r. 1823 rozwinęła się sprawa o tajemne towarzystwo Filaretów, wszystkich podobnych próśb rozwiązania do ukończenia téj sprawy zawieszone zostały, chciano bowiem wiedzieć, czyli który z członków uniwersytetu nie należał w jakikolwiekbądź sposób do tego stowarzyszenia. To tak wielce bolało Bekiego, który niezmiernie sprzykrzył sobie prace nauczycielskie, iż w tymże roku umyślnie odbył podróż do Petersburga dla wyjednania tam skutku żądania swego. Czego gdy nie otrzymał, a początek roku szkolnego coraz się zbliżał i kurs lekcji swoich na nowo rozpoczynać musiał, całą nadzieję obrócił ku Nowosilcowi, którego przyjazd do Wilna był już zapowiedziany, i o którego wielowładnym wpływie na umysł wielkiego ks. Konstantego a tém samém i ministerstwa dobrze wiedział. — Za przybyciem więc Nowosilcowa do Wilna, Becu począł czynić kroki ku zjednaniu sobie protekcji tak wysokiego, cesarskiém zaufaniem zaszczyconego urzędnika. — Szlachetna postać ciała, rozum nauką i obszernemi wiadomościami ukształcony, płynne i jasne tło-

maczenie się francuzkim, niemieckim, równie jak polskim językiem, wesoły zawsze humor a mianowicie rzadki dowcip w utrzymaniu wesołéj i zawsze przyjemnéj konwersacji, ujęły prędko Nowosilcowa; podobał więc go sobie i oświadczył życzenie, aby go najczęściéj ile możności odwiedzał, zwłaszcza, iż z powodu obmierzłéj swéj w tém śledztwie prezydencji, wszelkiego towarzystwa był pozbawionym. — Becu więc i własnym interesem powodowany i wyraźnym rozkazem zniewolony, musiał doń uczęszczać i uczęszczał tyle, ile mu domowe zatrudnienia i lekcyjne godziny dozwoliły. — Filareci lubo wszyscy w więzieniach osadzeni, mieli swoich licznych w studentach stronników, którzy wszystko co się działo za izbą badań pilnie postrzegali, a usadowieni w księgarni Zawadzkiego tuż przed mieszkaniem Nowosilcowa, widząc pokilkakroć wchodzącego i wychodzącego ztąd Bekiego, płocho wnieśli, iż powodem tego uczęszczania były jakieś podłe donosy ku potępieniu towarzystwa dążące.

Znałem tego męża od młodości, kolegowaliśmy z sobą przez lat kilka jako uczniowie akademji a przez lat dwadzieścia kilka jako profesorowie uniwersytetu i nie widziałem nigdy go skłonnym do żadnéj, a tém bardziéj takowéj podłości. — Dobry mąż, dobry ojciec, dobry przyjaciel Śniadeckich i wszystkich szlachetnie myślących członków uniwersytetu, mógłbyż długo i tyle osób udawanemi łudzić cnotami? wreszcie cóżby mógł donosić i kogo o co oskarżać? nie był tajnego towarzystwa członkiem, a tém samém nie mógł wiedzieć ani o czynach, ani o zamiarach jego. — Ponieważ autor nie wskazuje żadnego źródła na poparcie tak ohydnego zarzutu, z pewnością wnieść można, iż pochodzi od niektórych z ziomków naszych, którzy oparłszy domysł swój na samém podejrzeniu tylko, natchnęli zkądinąd szanowne dzieło jego nowemi fałszami i nowém splamili oszczerstwem*).

Niepohamowany w zawziętości autor w całym tym wstępie o uniwersytecie, ściga Śniadeckiego ostremi lubo bezsilnemi przekąsami. — Na str. 425 wychwalając Lelewela jasność, łatwość, precyzję w wykładzie dziejów rodu ludzkiego, dodaje: Lelewel zawstydzał Śniadeckiego. — Nie miał się czego Śniadecki wstydzić, że profesor ten jasno i wymownie tłomaczył się w swym przedmiocie, to, jak przed kilku laty usuwanie od posady niedość usposobionego Lelewela było bez prywaty, tak teraz oklaski i pochwały dawane Lelewelowi usposobionemu, nie mogły być upokarzającém dlań zawstydzeniem.

Współcześnie właśnie z wejściem Lelewela do uniwersytetu, Józef Gołuchowski powołanym został na wakującą od lat kilku katedrę filozofji, a z tego powodu autor unosi się nad niewyczerpanemi korzyściami tak dla oświaty jedenasto-miljonowéj ludności w powszechności, jak dla zaszczepienia i rozkrzewienia politycznego i patriotycznego ducha w narodzie. — „Wśród tych okoliczności, powiada autor na str. 426, wydział moralny wziął przewagę nad matematycznym. Była to rewolucja na korzyść ducha z uszczerbkiem materji... Gołuchowski pubudzał myśl do pojmowania saméj siebie bez względu na świat zewnętrzny“ itd. itd. — Zbyt daleko zaprowadziłyby mnie uwagi nad pytaniem, czyli i jak poezja i filozofja prowadzą narody do politycznych rewolucji. — Grecja dzisiejsza, ni poetyczna, ni filozoficzna, zrzuciła jarzmo tureckie, pod którém od kilku wieków jęczała. -- Hiszpanja daleka od cywilizacji europejskiéj i nie znająca innéj filozofji prócz scholastycznéj, jaka się dotąd w Salamance wykłada, od śmierci Ferdynanda VII do dziś dnia w nieprzerwanéj zostaje rewolucji, a flegmatyczne Niemcy, u których od dawna i poezja kwitnie i filozofja w tysiącznych postaciach i w nowych coraz systematach, wszystkim prawie uczonym zawraca głowy, spokojnie znoszą te kształty rządów, jakie im kongres wiedeński lub absolutna panujących wola narzuciły. — W Hanowerze książę Cumberland jednym pociągiem pióra odjął poddanym swoim nadane przez księcia Cambridge przywileje, a ościenne prowincje, prócz okazania jakiéjś litości, nie ujęły się za tę krzywdę. — Król pruski nie dotrzymał danego w 1813 r. przyrzeczenia liberalnéj swym krajom konstytucji, a prowincjonalne sejmy ledwie w słabych głosach bezskutecznie ośmieliły się przypomnieć mu tę obietnicę. — Zastanówmy się raczéj nad tém, czyli i jak Gołuchowski odpowiedział oczekiwaniom i ziścił nadzieję gorliwych swoich wielbicieli i naszego autora. — Wstąpiwszy na katedrę zapowiedział w prospekcie na r. 1823/1824 wydanym, że miał wykładać antropologję, logikę i filozofję moralną; jakoż na początku roku szkolnego Gołuchowski, zamiast pobudzania myśli do pojmowania saméj siebie bez względu na świat zewnętrzny, począł kurs swój od antropologji, która opierając się na znajomości składu ciała ludzkiego czyli anatomji, prowadzi do poznania czynności organów, w skład ciała ludzkiego wchodzących, z tego względu nauka ta zupełnie fizyczna, nie mogła pobudzać imaginacji w słuchaczach do wzniecenia pożądanych przez autora politycznych rewolucji — i trudno jest pojąć, dla czego ten profesor nawykły do obcowania z duchami, obrał sobie do wykładania zupełnie fizyczną czyli materjalną naukę.

Na hasło wykładać się mającéj filozofji poczęli się do szkoły zbiegać liczni z całego miasta słuchacze, studenci wszystkich wydziałów, kancelaryści administracyjnych i sądowych urzędów, adwokaci, duchowieństwo, i nawet kobiéty. — Gołuchowski trzymając się dzieła Virey'a „L'histoire de l'homme“, rozprawiał obszernie o poczęciu, życiu i rozwijaniu się organów w stanie niemowlęctwa; następnie o wieku dziecinnym, dojrzałym i starości aż do zgonu, a to wszystko wymownie i politycznie. — Słuchacze a mianowicie kobiéty, nie domyślając się w wielu twierdzeniach jawnych niedokładności, rozprawy te głośno pochwalali i powszechnemi oklaskami obsypywali; sami tylko uczniowie medycyny, dobrze zkndinąd z anatomją i fizjologją obeznani, żartowali niekiedy ze zbyt śmiałego i zarozumiałego profesora.

W drugiéj części antropologji filozof nasz miałby był zręczność głębszego zastanowienia się nad umysłowemi władzami, niż nad fizyczną, mało sobie znaną budową człowieka, lecz on, zamiast anatomizowania, jak to czynią dzisiejsi mędrcy rozumu ludzkiego, obrócił swe uwagi na wpływ, jaki ten najwyższy dar niebios wywiera na losy narodów w powszechności i na indywidualny byt téj rozumnéj istoty. — Przebiegając więc historję starożytnych dziejów świata, rozprawiał już o wielkich czynach sławnych w świecie bohaterów, o genjalnych mówcach i poetach, o celujących w sztukach pięknych rzeźbiarzach i malarzach, statystach, historykach itd, a zwracając się szczególnie do płci pięknéj, téj wyższość i pierwszeństwo nad płcią męzką przyznawał i to licznemi przykładami stwierdzał. — Tu więc były na placu sławna męztwem i odwagą Judyt w Izraelu, królowa Izabella w Hiszpanji, Joanna D'Arc we Francji, a w ostatnich czasach Bobelina

*) Obrona ta profesora Becu przez takiego człowieka jak Stanisław Jundziłł, jest nader ważną. Dodać to tylko możemy, że niejednokrotnie słyszeliśmy ludzi poważnych, na wiarę i powszechny szacunek zasługujących, tak samo broniących Becu. Że nie należał do tajnéj komisji nowosilcowskiéj, dziś już dokładnie wiadomo. (Przyp. Sob.).

w Grecji, a z naszych rodaczek Katarzyna Czartoryska w Międzyborzu, Chrzanowska w Trębowli. — W liczbie rządczyń i prawodawczyń swoich ludów Semiramis w Babilonie, Marja Teresa w Austrji i Katarzyna II w Rosji.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Chrobacja. Rozbiór starożytności sławiańskich, napisał Tadeusz Wojciechowski, Dr. fil., amanuent Bibljoteki Jagiellońskiéj. Tom I. Kraków, 1873.

Badanie dziejów i starożytności sławiańskich uważane było i jest, szczególnie u nas, za rzecz niewdzięczną, za przedmiot nietylko nie prowadzący do pomyślnych rezultatów, ale naprowadzający nadto badaczów na dziwaczne pomysły i hipotezy. — Przekonanie to stało się u nas tak powszechném, że przeszło prawie w przysłowie, oznaczające dążności lub pracę nie mającą prócz złudnych wyników żadnéj doniosłości praktycznéj lub pożytecznéj. — I niedziw; świat sądzi naukę tą samą miarą, co i pojedynczych ludzi; — szanuje, uznaje lub podziwia ich wtedy, gdy uwieńczyli swą pracę i swe zabiegi szczęśliwemi i pożytecznemi rezultatami, a wzrusza obojętnie ramionami, lub potępia niemiłosiernie, gdy przy najlepszych nawet chęciach rezultaty chybią. — Ztąd wynikło, że badacze starożytności sławiańskich nie zdołali wyrobić sobie w świecie naukowym i wśród ludzi tego szacunku i uznania, do jakiego doszły inne nauki; co więcéj — ogół czytelników nie wchodził w trudności, na które napotyka ta nauka, a chwytał chętnie i skwapliwie krótkie rozprawki, które z małemi nader wyjątkami, zamiast nauczenia, przyczyniały się do rozweselenia kółek towarzyskich, nadając autorom tychże rolę mimowolnych humorystów. — Gdy nadto spostrzeżono, że dzieła ludzi uchodzących powszechnie za uczonych, owoce kilku lub kilkunastoletniéj pracy, zostały po ukazaniu się słusznie skrytykowane, że autorom wykazano brak logiki, krytyki; należytego zrozumienia źródeł, fantastyczność i wszelkie możebne wady, — nie dziw że zwątpiono — a nie zgłębiając saméj rzeczy, poczęto wołać: ot! co się u nas dzieje — na co to się wszystko zda — czy w innych krajach spotkasz się z podobnemi dziwactwami i t. p. — I zdawałoby się, że Polacy są narodem wyjątkowym, któremu powiedzianém jest: Nie będziesz badał twoich starożytności — a zapomniano, że ze wszystkich szczepów europejskich, szczep sławiański jest jedynym, który o odległéj swéj przeszłości posiada najuboższe, najsprzeczniejsze wiadomości i najszersze luki; zapomniano, że gdy inne narody europejskie posiadają w nieprzerwanym prawie ciągu mniéj lub więcéj bogate źródła o swych starożytnych przodkach, narody sławiańskie mają zaledwie kilku starożytnych pisarzy, którzy krótko lub niejasno wspomnieli o nich.

Mając przeto na uwadze powyższe okoliczności niedziw, że z pośród zastępów poważnych badaczów wyszli tacy, którzy niecierpliwi rezultatów, poczęli je tworzyć we własnéj fantazji, a tém samém zeszli na dziwaczne drogi.

Z prawdziwą przeto radością witamy niniejsze dzieło, a nie przesądzając rzeczy, mamy nadzieję. że policzone ono zostanie do téj szczupłéj liczby książek, które badanie starożytności sławiańskich posuną naprzód i utorują szczęśliwszą drogę.

Autor rozpoczyna dzieło obszernym rozbiorem metod, których używano dotąd w badaniu starożytności sławiańskich.

Co jest właściwie powodem, że badania starożytności sławiańskich, uprawiane przez długie wieki i przez znakomitych ludzi, nie doprowadziły do takich rezultatów, do jakichby doprowadzić powinny? W czém należy szukać owéj mieszaniny najróżnorodniejszych a zarazem najsprzeczniejszych systemów i zapatrywań? — oto pytania, które rozwiązuje autor w pierwszéj części swego dzieła.

Wszelkie badanie, czy to na polu umiejętności przyrodniczych, czy téż historycznych, skoro tylko doszło do pewnego stopnia wydoskonalenia, wprowadzało metodę, która nie stworzona „a priori", stanowiła zasób środków ściśle zformułowanych, opartych na doświadczeniu, a mających na celu: wskazanie drogi najkrótszéj i najłatwiejszéj, za pomocą któréj zdobywać można dalszy zasób wiedzy, a tém samém posuwać umiejętność naprzód.

Tak więc wszelka metoda, będąc wypływem postępu umiejętności, wpływała w dalszym ciągu na postęp téjże, a ulepszenie jéj, odrzucenie lub stworzenie innéj, stanowiło w umiejętnościach pewien przewrot, który w miarę czy nowa metoda zyskała obywatelstwo czy nie, trwał krócéj lub dłużéj, a tém samém wpływał szkodliwie lub zbawiennie na rozwój umiejętności. — Historja metod przeto stanowi zarazem historję rozmaitych umiejętności — to téż gdy rzucimy okiem na metody historyczne, spostrzeżemy, że ze wszystkich umiejętności — historja należy do rzędu tych, które nie polegając na doświadczeniu — wytworzyły liczne metody, walczące ze sobą do dziś dnia o pierwszeństwo, a z których szczupła nader liczba zdobyła sobie poważniejsze stanowisko w nauce.

Badanie starożytności sławiańskich postępowało do dziś dnia przeważnie na drodze metody, którą autor niniejszego dzieła nazywa metodą „filologiczną." — Sama nazwa metody, wskazuje już mniéj więcéj sposób badania. — Starożytni pisarze, żyjący przeważnie współcześnie z opisywanemi wypadkami, którzy mniéj lub więcéj obszernie pisali o Sarmatach, Scytach, Germanach i t. p. stanowią podstawę źródłową w badaniu starożytności sławiańskich za pomocą metody filologicznéj. Nie ulega przeto wątpliwości, że ci starożytni pisarze, których dzieła filologowie oczyścili z błędów, wydobyli z ukrycia i wydali na świat, byliby niezaprzeczenie najznakomitszym zbiorem źródeł dla starożytności sławiańskich, gdyby nie to, że w opisach ich zachodzą często najsprzeczniejsze wiadomości, zbyt zresztą nieraz krótkie i niejasne, tak dalece, że trudno jest stanowczo orzec, któremu z nich należy się pierwszeństwo, lub téż które wiadomości należy uważać za niewzruszone i niezaprzeczone — dodawszy nakoniec do tego wszystkiego tę okoliczność, że nie mamy żadnéj pewności, czy wiadomości podane przez tychże pisarzy o różnych narodach starożytnych, odnoszą się rzeczywiście do naszych przodków Sławianów, łatwo spostrzeżemy, jak dalece zbywa metodzie filologicznéj na pewnym i poważnym gruncie. — Niedziw przeto, że wśród takiego braku wszelkiego kryterjum, wyrodziły się między badaczami najsprzeczniejsze zdania; a gdy nadto stare źródła wyczerpnięto, a nowych nie przybywało, poczęto przeżuwać jedno i to samo, kręcić się w kółko, lub schodzić na najdziwacznie drogi. Nie odmawiając przeto wielkich zasług, jakie w swoim czasie położyli filologowie na polu opracowania starożytnych źródeł i wykształcenia

zmysłu krytycznego, orzeka bardzo słusznie autor, że metoda stworzona przez nich nie zdoła doprowadzić przy tym stanie źródeł do pomyślnych rezultatów na polu badań starożytności sławiańskich, a wszelkie nowe porywy będą jedynie wymownem świadectwem o dowcipie lub fantazji autora, nie posuwając saméj umiejętności ani o krok naprzód.

Pomijając jednak niedogodności wynikające z niejasności źródeł, metoda ta ma tę szczególnie wadę, że z założenia swego, rozpoczyna od najdawniejszych, a więc najmniéj jasnych źródeł, biorąc niejako za podstawę fakta podane przez nie, poczém posuwa się ku źródłom późniejszym. — Bardzo przeto słusznie widzi autor główny niedostatek metody filologicznéj w tém, że za pomocą niéj usiłowano wyjaśnić ciemną starożytność naszego szczepu również ciemnemi wiadomościami z autorów klasycznych, wymagających właśnie objaśnienia.

Autor porzuca przeto metodę filologiczną jako nieużyteczną a nawet szkodliwą, a na jéj miejsce stawia metodę wprost przeciwną — metodę, za pomocą któréj zdołamy nietylko rozszerzyć zasób źródeł, ale nadto objaśnić, zaprzeczyć lub utrwalić pewność tych wyników, do których doszli badacze za pomocą metody filologicznéj.

Rozszerzenie zasobu źródeł da się oczywiście tylko wtedy uskutecznić, skoro zwrócimy naszą uwagę na nauki pomocnicze, jak n. p. na archeologję, lingwistykę i t. p. czyli, jednem słowem, na nauki dające nam szereg źródeł, złożony z pomników mowy, nazw, zabytków archeologicznych, a w ogóle na wszelkie objawy, rozpoznawane jako fakta etnograficzne, które razem stanowią tak zwane nauki etnograficzno-historyczne.

Źródła etnograficzne mają nadto przewagę nad źródłami pisanemi, raz dla tego, że trwają aż do dziś dnia, a powtóre, że nie są utworem pojedynczych osób lub pisarzy, podczas gdy wiadomości pisane mogły łatwo powstać z fałszywéj informacji. — Rozumie się, że badanie na téj drodze postępować będzie w sposób wprost przeciwny metodzie filologicznéj. — Przyjmując bowiem za punkt wyjścia fakta istniejące, rozpocznie się badanie od faktów bliższych nam, poczém zstępować będzie do coraz to dalszych — czyli, jak to autor powiada, „badanie pójdzie drogą od znanych do nieznanych", co w obec źródeł historycznych formułuje się: od późniejszych do wcześniejszych, a więc drogą „metody odwrotnéj." — Metoda odwrotna ma przeto szczególnie to za sobą, że użytkuje z wielu prac naukowych, których metoda filologiczna nie wyzyskała, nie wykluczając przytém korzyści, wypływających z metody filologicznéj pod względem rozbioru źródeł.

Pomysłu powyższéj metody nie przypisuje sobie autor, właściwym jéj wynalazcą jest Jan Potocki, Surowiecki używał jéj nawet, kilku późniejszych badaczów zachwalało ją w teorji. — Ale tak u Potockiego jak i u Surowieckiego nie był to system badania, oparty na téj metodzie, ale raczéj tylko idea o niéj — dla tego to główną zasługą autora jest: 1) umiejętne zformułowanie téj metody, a 2) wprowadzenie jéj w praktykę na polu badań starożytności sławiańskich.

Potocki bowiem, jakkolwiek postawił powyższą metodę w teorji, nie był w stanie zdać przed sobą umiejętnéj i ściśléj z niéj sprawy, to też gdy chciał ją zastosować, napotkał na tak wielkie trudności, że zwątpił o niéj zaraz na pierwszym kroku. — Na usprawiedliwienie jednak Potockiego trzeba dodać to, że tenże nie miał do dyspozycji ani archeologji, ani lingwistyki, dwóch nauk, które od tego czasu olbrzymie zrobiły postępy.

Rozebrawszy w ten sposób elementa metody odwrotnéj i jéj historję, przechodzi autor do praktycznego zastosowania téjże. — Autor wybrał za podstawę do swoich badań historycznych starożytności sławiańskich, ze wszystkich faktów etnograficznych, wyłącznie fakta lingwistyczne; — bo, jakkolwiek przedmiotem badań etnograficznych nie są wyłącznie fakta lingwistyczne, ale również archeologja, antropologja i t. p., to przecież lingwistyka odznacza się między niemi nietylko największą precyzją, ale zrobiła nadto w ostatnich czasach największe postępy.

Nie będziemy tu podawać szczegółowo wywodów autora; uważny czytelnik samego dzieła, osądzi najlepiéj ich moc przekonywającą i sposób dowodzenia, podamy tu tylko wyniki najbardziéj uderzające swoją nowością.

Autor dzieli wszelkie nazwy na imiona osobowe, miejscowe, gór, rzek i narodowe. — Z tych wszystkich nazw bierze za przedmiot badania w obecnym tomie nazwy miejscowe, a to jedynie dla tego, że znaczna nader liczba tychże (około 5,000) ułatwia już przez się badanie.

Na czele badania stawia autor następujące zdanie: „Zadaniem rozbioru historycznego jest: wydobyć z każdéj nazwy miejscowéj pierwotną historję każdego miejsca, a to w tym celu, aby z kilku tysięcy drobnych wiadomości zebrać wreszcie wiadomości historyczne o pierwotnych dziejach całego kraju.

„Etymologja rozważa nazwy miejsc jako wyrazy, historja zaś widzi w nich świadectwo wypadków dziejowych. — W ten sposób zbiór kilku tysięcy nazw miejscowych chrobackich, staje się zbiorem kilku tysięcy świadectw o wypadkach dziejowych, zaszłych na téj ziemi, bo dla historyka materjał etymologiczny przemienia się w materjał dziejowy, a nazwy geograficzne w nazwy wypadków."

Powyższe zdanie zakreśla jasno granice badania. — Rozebrać etymologicznie nazwy, podzielić je na grupy, wyczytać z nich wypadki historyczne, oznaczyć chronologję tychże, a co najgłówniejsze — udowodnić, że tak było — oto warunki, którym należy odpowiedzieć.

Autor robi zaraz na wstępie główny zarzut lingwistykom, polegający na tém, że dotychczas zwracali oni główną uwagę na źródłosłowa nazw, a nie na ich końcówki czyli suffixy. — Ztąd bowiem wynikły najdziwaczniejsze domysły — chęć znalezienia powinowactwa między źródłosłowami sławiańskiemi a obcemi, spowodowała owe naciągane wywody i błędy, tém szkodliwsze, że często osłonięte poważnemi nazwiskami badaczów. —

Zwracając przeto wyłączną uwagę na końcówki — rozebrał autor wszystkie nazwy miejscowe — a znając ich treść, przeszedł do oznaczenia historycznego znaczenia tychże — co stanowi najważniejszą część niniejszego dzieła. — Otóż dzieląc te nazwy wedle ich treści historycznéj, otrzymał autor pięć rozmaitych grup nazw miejscowych, które przedstawił jako pięć wielkich wypadków historycznych, obejmujących całkowitą historję osiedlenia. — Wypadki te streszczają się: w osadach (chłopskich), wsiach (szlacheckich), osadach służebnych, wojsowych i przysiołkach. — O każdéj z tych grup dowodzi autor dokumentami, że odnośne nazwy miejscowe są istotnie wyrazami wypadków historycznych podobnéj treści. — Przechodząc następnie do badania chronologicznego nazw miejscowych, czyli do rozmieszczenia pięciu grup nazw, jako epok osiedlenia, stawia autor następujące wyniki: 1) Nazwy miejscowe nie powstały razem w pomieszaniu współczesném; 2) że powstały w dwóch różnych epokach, wcześniejszéj i późniejszéj, z których pierwszą cechują głównie osady chłopskie, a drugą wsie i przysiołki.

W jedenastym wieku napotykamy w Chrobacji wsie i osady wszelkiego rodzaju; brak jednak wcześniejszych świadectw nie dozwala oznaczyć wieku, a tém mniéj początku tych osad. Dla tego to autor nie zapuszcza się w domysły, a przytacza przy téj sposobności epoki osiedlenia u Sławiańszczyzny zachodniejszéj, gdzie można wykazać dowodnie początek epoki drugiéj, to jest wsi szlacheckich, przypadającéj w drugiéj połowie piątego wieku.

Wszystkie powyższe twierdzenia nie są bynajmniéj gołosłownemi wywodami, autor dowodzi je w sposób nadzwyczaj jasny i popiera je licznemi dowodami.

Reasumując obecnie wszystko co powiedział autor, otrzymujemy następujące wyniki: 1) Że nietylko ten sam szczep sławiański, ale i te same narody i pokolenia, które dziś używają tych nazw, używały ich lub tworzyły je w trzecim i drugim wieku ery chrześcijańskiéj; 2) Że te narody zachodnio-sławiańskie, wśród których znajdujemy do dziś dnia osady patronymiczne (chłopskie), siedziały tu już w trzecim i drugim wieku ery chrześcijańskiéj; 3) Że między narodami wymienionemi w tych stronach przez pisarzy starożytnych a mianowicie Tacyta i Ptolomeusza, muszą koniecznie znajdować się i te narody, które założyły i posiadały te osady; 4) Że wreszcie wszystkie imiona ludowe, położone u Ptolomeusza w tych stronach Germanji i Sarmacji, gdzie później było przeważne mnóstwo osad patronymicznych, nie mogą oznaczać innych narodów, prócz sławiańskich i to tych samych — w znaczeniu etnograficznéni nie zaś politycznéni — które tych nazw do dziś dnia używają, bo właśnie to mnóstwo nazw patronymicznych dowodzi niewątpliwie, że tu nie było miejsca dla innych narodów.

Taka jest ogólna treść niniejszego dzieła. — Uderzają w niém przeważnie dwie zalety — z jednéj strony olbrzymie bogactwo dosadnych faktów, przytoczonych na poparcie każdego twierdzenia — a z drugiéj nadzwyczaj logiczny i zwięzły sposób dowodzenia.

Jest rzeczą pewną, że ludzie, głębokiéj nawet nauki — błądzą często bądźto gorączkowym sposobem dowodzenia, w którém zbytecznie nieraz własnemi zapalają się słowami — bądź też nadmiarem przytaczanych faktów. — Do rzędu pierwszych należą przeważnie umysły polotne, ale zbyt gorączkowe i niecierpliwe, do drugich umysły ciężkie, wytrwałe i pracowite. — Połączenie polotności z sumiennością i ścisłością, jest rzeczą bardzo rzadką, a nie powiemy za wiele, przyznając autorowi niniejszego dzieła, że potrafił nietylko znakomicie panować nad bogatym materjałem, ale również zachował wielki spokój w sposobie dowodzenia, nie pozwalając sobie nigdzie dowolnych skoków lub twierdzeń nie popartych należycie. — Dla tego też czyta się to dzieło z prawdziwą przyjemnością — bo nie ma w niém ani zbytecznéj pedanterji, ani też dowolności lub gonienia za efektami — a co szczególnie, czytelnik nie spotka się z tą masą najniepotrzebniejszych nawet cytat, któremi często przeładowują dzieła naukowe. — Umiejętne spożytkowanie cytat w tekscie jest wielką zaletą i trudną do nabycia, zwłaszcza, gdy dziś prawie w modę weszło popisywanie się z cytatami, które niepotrzebnie tylko męczą i rozrywają uwagę czytelnika.

Niemniéj wielką zaletą niniejszego dzieła jest umiarkowanie, z jakiém autor wytyka błędy badaczom starożytności sławiańskich, lub krytykuje ich metody badania — a zaletę tę posuwa autor aż do zbytecznéj nawet grzeczności — przyznając n. p. Janowi Potockiemu zasługę zbyt wielką około pomysłu metody odwrotnéj, podczas gdy tenże w gruncie rzeczy w przelocie tylko o niéj napomknął, nie formułując jéj bliżéj i nie pracując nad jéj rozwinięciem. — Ale najważniejszą zasługą naukową autora jest rzucenie światła na stan chłopski, w pierwszych czasach naszéj historji. — Dotychczas bowiem pisano wyłącznie o stanie szlacheckim a poniekąd mieszczańskim — stan kmiecy odziewano w barwy poetyczne, powtarzając jedno i to samo — i nie wchodząc czy tak rzeczywiście było, czy nie. — Autor przeciwnie wystawił nam w dziele swojém po raz pierwszy stan chłopski jako korpus narodu — a zastanawiając się nad pierwotną epoką osad, wyświecił nam właściwe jego warunki bytu i czynność po zajęciu ziemi.

Na tém kończymy niniejsze sprawozdanie. Nie widzimy potrzeby wdawania się w pochwały nad tém dziełem. — O ile ono przyczyni się do posunięcia naprzód badań starożytności sławiańskich — nie orzekamy z góry, ale mamy pewność, że dzieło to wyrobi sobie należyte uznanie u kompetentnego i nieuprzedzonego czytelnika.

Dr. **Franciszek Bylicki.**

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— Jeszcze słowo w sprawie jenerała **Edmunda Taczanowskiego.** — Z artykułu wstępnego w Nr. 23 naszego pisma znaną już jest szanownym czytelnikom sprawa wyboru jenerała Taczanowskiego do komitetu przedwyborczego i opozycja pewnéj części posłów przeciw niemu, zasadzająca się na błahym pozorze, iż jenerał walczył przeciw Papieżowi Bezpodstawność tego twierdzenia wykazaliśmy w owym artykule, a w kilka dni później ogłosił „Dziennik Poznański" pismo Prezesa Koła polskiego w parlamencie niemieckim, p. Władysława Taczanowskiego, zbijające punkt za punktem zarzuty oponentów szanownego jenerała. „Kurjer Poznański" odpowiedział na to pismo gołosłownem zaprzeczeniem podanych przez p. W. T. faktów, które spowodowało jenerała do następującéj w Nr. 142 „Dziennika Poznańskiego" ogłoszonéj odpowiedzi:

„W téj chwili wyczytuję w Kurjerze odpowiedź na oświadczenie mego brata Władysława Taczanowskiego, umieszczone w Nr. 135 Dziennika Poznańskiego.

Uczuciem, które we mnie powstało w obec tendencyjnych i moją osobę szarpiących potwarzy Kurjera, była głęboka pogarda i dla tego milczałem. Ostatni artykuł umieszczony w Nr. 135 Kurjera nie byłby mnie do przerwania milczenia spowodował, ale kiedy mój brat Władysław oburzony treścią artykułów Kurjera stanął w méj obronie, a pociski pierwotnie ku mnie wymierzone teraz na mego brata skierowane zostały, milczeć mi nie wolno.

Kurjer zasłoniwszy się udaną wiadomością historji, zaprzecza prawdziwości podanych faktów przez mego brata. Jako świadek ówczesnych wypadków nie mam wyrazów na określenie podobnego wystąpienia Kurjera.

Podług oświadczenia Kurjera:

1) „Wojska papiezkie nie zdążały pod Nowarę, bo się były cofnęły do Wenecji i już w owéj epoce prawie nie istniały."

Nieprawda. — W owéj epoce dawne wojska papiezkie istniały. Tylko mała cząsteczka po kapitulacji pod Wicencą schroniła się do Wenecji, reszta zaś korpusu generała Durando po pewnym przeciągu czasu częścią w porządku, częścią w rozproszeniu wróciła do państwa papiezkiego i połączyła się z resztą wojska, które nie było na teatrze wojny. Tryumwirat rzymski miał z dawnego wojska papiezkiego pod swoimi rozkazami trzy pułki linjowe, pułk karabinierów, to jest żandarmów papiezkich, bataljon financierów, do połowy zre-

dukowane, dwa pułki dragonów, pułk artylerji, w którym była cała baterja szwajcarska i bataljon pionjerów. Reszta wojska rzeczypospolitéj rzymskiéj składała się z pułków nowo sformowanych.

Po odjeździe Papieża do Gaëty a zatém po oddaniu się w ręce króla neapolitańskiego, jednego z największych wrogów niepodległości włoskiéj, ogłoszona dnia 9 lutego rzeczpospolita rzymska rozpoczęła układy z rządem piemontskim w celu wspólnego działania przeciw Austrjakom. Wtém papież 18 lutego wezwał pomocy Austrji, Francji, Hiszpanji i Neapolu. Wojska rzymskie zamiast ruszyć na północ w celu stawienia czoła Austrjakom, musiały pozostać w Rzymie z powodu grożącéj mu koalicji. Dopiéro kiedy wieść o nieszczęśliwéj bitwie pod Nowarą do Rzymu nadeszła, rozkazał tryumwirat wszystkim wojskom, bez względu na grożące niebezpieczeństwo od południa, wyruszyć ku północy na pomoc Piemontczykom. Wymarsz nastąpił, ale wkrótce wstrzymany został w skutek zawieszenia broni pomiędzy Piemontczykami i Austrjakami. — A zatém nie mój brat, tylko Kurjer sfałszował fakt historyczny.

2) Kurjer utrzymuje: „Legji polskiéj, która się nigdy na dobre nie uporządkowała, Papież nigdy żadnego błogosławieństwa nie udzielił.“ I to nie prawda. — Mickiewicz był w Rzymie u Papieża i prosił Go o błogosławieństwo. Papież jeszcze naówczas dosyć przychylny sprawie wolności, wyraził się sympatycznie o zapale i miłości ojczyzny Polaków. Błogosławiąc Mickiewicza oświadczył, iż tém samém przesyła błogosławieństwo walczącym Polakom. Mój brat zatém tylko na prawdzie się opierał. Ale dla czegoż Kurjer z takim uporem zaprzecza temu błogosławieństwu? Czyżby Papież się poniżył, gdyby błogosławił drużyny polskie rozpoczynające walkę przeciwko tym, którzy byli wspólnikami zbrodniczego podziału Polski? Kurjer w zapędzie potępiania wszystkiego co tchnie wolnością byłby zapewne wolał, żeby Pius IX naśladując swego poprzednika Grzegorza, zamiast błogosławieństwa był udzielił naganę narodowi polskiemu.

3) Kurjer utrzymuje: „Legja polska faktycznie w owéj epoce już nie istniała.“ — Również nieprawda. — Legja polska w r. 1849 była w Toskanji; po konterrewolucji zaś, ukończonej wypędzeniem Guerracego z Toskanji, legja polska na żądanie nowego rządu złożenia broni odpowiedziała, że przyszła do Włoch w celu walki z Austrjakami a kiedy Piemont i Toskanja walczyć już nie myślą, to pójdzie do Rzymu, gdzie tryumwirat walkę podjętą daléj prowadzi. I rzeczywiście jako sformowany oddział pod dowództwem Fiałkowskiego udała się do Rzymu. W obec takich faktów ubolewać należy nad zamiłowaniem Kurjera gmatwania prawdy.

4) Kurjer utrzymuje: „Garibaldi walczył nie przeciw Austrjakom, tylko przeciw Francuzom i Neapolitańczykom przychodzącym wraz z Hiszpanami przywrócić Ojca Świętego.“ Także nie prawda. — Garibaldi był w pochodzie przeciw Austrjakom, którzy zbliżali się do Bolonji, ale w skutek napadu Francuzów na Rzym a Neapolitańczyków i Hiszpanów na południową część państwa rzymskiego, odebrał rozkaz pospiesznego powrotu w celu obrony Rzymu. Ta kurjerowa nienawiść do Garibaldego, która go nie chce nawet uważać jako nieprzyjaciela Austrjaków jest tak dziecinną, iż z politowaniem trzeba wzdrygnąć ramionami.

5) Kurjer utrzymuje: „Co się zaś tyczy jakoby intencji tryumwiratu przywrócenia Polski, to się tylko uśmiechnąć na nią można i nikt rozsądny wagi do tego przywiązywać nie będzie.“ Wystarczy wynurzyć moją boleść nad podobnemi wyrażeniami, które urągają naszym nadziejom i wyrazom najpiękniejszéj naszéj pieśni narodowéj na ziemi włoskiéj zrodzonéj.

Choryń, dnia 20 czerwca 1873 r.

Edmund Taczanowski.

* * *

— W Poznaniu wyszły: „Mowa żałobna na pogrzebie ś. p. Stanisława Zakrzewskiego, b. kapitana wojsk polskich z czasów Napoleona I, powiedziana w kościele parafjalnym w Żabnie dnia 16 czerwca 1873“ przez Ks **Wł. Chotkowskiego**, „Sprawozdanie posła powiatu Brodnickiego **Ign. Łyskowskiego** o petycji ludności polskiéj Prus Zachodnich względem równouprawnienia języka polskiego z niemieckim“ oraz „Pracą i Oświatą! odczyt miany dnia 26 maja 1873 r. w uroczystość 25-letniego jubileuszu Towarzystwa Przemysłowego w Poznaniu“ przez Dr. **Romana Szymańskiego**, redaktora „Orędownika“, u M. Leitgebra i Sp.

* * *

— W Stanisławowie wychodzi odtąd **„Goniec Stanisławowski“**, pismo niepolityczne, pod redakcją Władysława Kudelskiego, zamiast dotychczasowego „Kurjera Stanisławowskiego.“

* * *

— **Przyjaciel dzieci i młodzieży**, wydawany przez p. Józefa Chociszewskiego, przestaje wychodzić z dniem 1 lipca dla braku odbiorców. Żeby nikt nie sądził, że plemię polskie w Księstwie naszém wygasło, podajemy wiadomość, iż liczymy w Poznańskiém 160,000 dziecięcych główek a organ ich „Przyjaciel dzieci“, tak starannie prowadzony, liczył aż 200 prenumeratorów. Notujemy ten fakt jako pierwszy dowód współubiegania się naszego z osławioną z drukowstrętu i ciemnoty Galicją.

* * *

— Stanisław Czarnowski wydał w Warszawie drugi **Rocznik Literacki** za rok 1872, poświęcony literaturze, oświacie, bibljografji i księgarstwu. Myśl tego wydawnictwa jest bardzo szczęśliwą, nie da się ona jednak porządnie przeprowadzić w Warszawie. Warunki cenzury nie pozwalają wyczerpnąć przedmiotu a nawet wymienić wychodzących u nas lub w Galicji pism czasowych i umieszczonych na indexie cenzury dzieł. Z tego powodu wspomniany rocznik nie jest ani gruntowny, ani wyczerpujący.

* * *

— **Czyny obywatelskie.** Pani Honorata Łukasiewiczowa, złożyła w jasielskiéj radzie szkolnéj okręgowéj kapitał 2,000 guld. w oblig. indemniz. na uposażenie szkoły w Chorkówce, oraz odstąpiła na rzecz téj szkoły z obszarów dworskich grunt objętości około 2 morgów, nadto zobowiązała się wystawić na tym gruncie własnym kosztem murowany budynek szkolny. — P. Karol Klobassa przeznaczył kapitał 5,000 guldenów w 5% listach zastawnych galic. Towarzystwa kredyt. na uposażenie szkół w Zrencinie i Bóbrce, oraz odstąpił z swych obszarów około 3 morgów gruntu na rzecz tych szkół, nadto zobowiązał się wystawić w Zrencinie murowany budynek szkolny własnym kosztem, w Bóbrce zaś drewniany przy pomocy ze strony gmin wiejskich. Ale bo téż i czynnie koło takich rzeczy chodzi p. Karpiński, inspektor szkół w Jaśle. (Dz. Polski).

Za pośrednictwem Administracji Tygodnika Wielkopolskiego nabyć można:

Padalica Tadeusz. Listy z podróży. 3 tomy. 1859. Wilno. 27 sgr.
Pamiętnik Pieśniarza. 1856. Lwów. 7 sgr.
— o wyprawie chocimskiéj r. 1621 Jana hr. z Ostroroga. Prok. Zbigniewskiego, Stan. Lubomirskiego i Jak. Sobieskiego — wyd. Żegota Pauli. 1853. Kraków. 25 sgr.
— o księciu Karolu Radziwille, spisany podług arch. Nieświezkiego. 1864. Lw. 17½ sgr.
— powszechny Nauk i Umiejętności. Rok 1835. 2 tomy w 1 opr. 27 sgr.
— Lwowski, tom drugi z r. 1816 i tom trzeci z r. 1818. 20 sgr.
— umiejętności moralnych i Literatury, zeszyt pierwszy. 1830. Warszawa. 2 sgr.
— Warszawski umiejętności czystych i stosowanych, tom I i tom IV, r. 1829. Warszawa. 1 tal.
Pan Zygmunt w Hiszpanji, powieść prawdziwa w 4 tomach, z ostatniéj wojny domowéj hiszpańskiéj przez autora Wspomnień z podróży po D. N. A. i t. d. 1852. Warszawa. 25 sgr.
Panorama literatury krajowéj i zagranicznéj. Zeszyt 3. Warszawa. 1836. 5 sgr.
Panslavismus im Gegensatz zum Allslaventhum. 1870. Strasburg. 5 sgr.
Parents Cabinet of amusement and instruction. 1847. Lond. 5 tomów opr. 20 sgr.
Paris ou le livre des Cent-et-un. 12 tom. w 6 oprawnych. 1831. Francfort s. M. 1 tal.
Pauli Żegota. Pieśni Ludu Ruskiego w Galicji. Tom II. 10 sgr.
·**Pauw.** Recherches phil. sur les Grecs. 1787. Brl. 2 tomy. 17 sgr.
Pellico Silvio. Le Mie Prigioni. 1847. 10 sgr.
— wyd. Londyńskie. 15 sgr.
Perrens, F. T. Deux Ans de Révolution en Italie 1848—9. Paris 1857. 27 sgr.
Pesado, d. J. J Poesias originales y traducidas. Secunda Edicion corregida y notablemente aumentada. 1849. Mexico. 25 sgr.
Petőfi Wojak Janosz, poemat, przełożył z węgierskiego Władysław Sabowski. 1869. Kraków. 12 sgr.
Petrarca, Francesco. Sonetti. 1818. Zwickau. 10 sgr.
— Sonetti e Canzoni. 1559. Venetia. 15 sgr.
Peyronnet Gedanken eines Gefangenen. 1834. Lpz. 2 tomy w 1 opr. 7 sgr.
Phaedri Fabulae. 1865, wyd. Dübnera. 3 sgr.
Philosophie Morale, 1823. 3 sgr.
Philosophische Gespräche. 1755. Berlin. 5 sgr.
Piaseczyńska, Cecylja. Opera 2 aktach. 1829. Warsz. 7 sgr.
Piekło i Ludzkość. Dramat w trzech odsłonach przez N. N. 1849. Poznań. 2½ sgr.
Pieśni Kroackie, przekł. Feldmanowskiego. 1867. 7 sgr.
— Proroków, przekł. Adama Pajgerta. 1865, Lwów. 6 sgr.
Pietraszewski, J. Abrégé de la Grammaire Zend. 1861. Berlin. 5 sgr.
Pinnock's Catechism of Rhetoric. II wyd. Londyn. 7 sgr.
Piosennik Ludów. Zeszyt II, zawierający pieśni skandynawskie. Pozn. 1843 2½ sgr.
Piosnki wieśniacze z nad Niemna. 1837. Wilno 15 sgr.
Piotrowicza X. St. Okólnik. 1870. Lwów. 3 sgr.
Piron, Alexis. Le faux prodige; Tirésias; Le Mariage de Momus; Colombine-Nitétis; Crédit est mort; L'enrolement d'Arlequin; Les huit Mariannes; Atis; Philomème; Les enfants de la Joie — w jednym tomie. 10 sgr.
Płakań, Janko. Dziewczyna Nowego Świata. Obrazek z sennéj rzeczywistości 1872. Lwów. 3 sgr.
Plamann, J. E. Einzige Grundregel der Unterrichtskunst nach Pestalozzi's Methode. 1805. Halle. 5 sgr.
Platonis Opera, cum scholiis a Ruhnkenio collect. Lps. 1829 w 7 tomach. 17 sgr.
— Tom I. 3 sgr
— Apologja czyli obrona Sokratesa. Kriton i Phedan czyli O nieśmiertelności duszy — przekł. polski Kozłowskiego. 15 sgr.
Plethonis Georgi Gemisti De iis quae post pugnam Mantinensem apud Graecos gesta sunt Libri III. ed. Reichardo, 1770. 7 sgr.
Pliniusza Cec Sek. Młodszego „Listy", przeł. p. R Ziołeckiego, wyd. Raczyńskiego z tekstem łacińskim, 3 tomy w jednym opr 2 tal
— Historiae Naturalis Libri 37 — ex recens. J. Harduini, 1783. Biponti, t. I. 7 sgr.
— Lobrede auf den Kaiser Trajan, übers. v. Schaefer. 5 sgr.
Pług Adam Sroczka, obrazek zaściankowy. 1869. Lwów. 7 sgr.
— Przyjaciele, bajka Krasickiego, zdjalogowana. 1870. Lwów 7 sgr.
Plutarch. Les vies des hommes illustres de Plutarque — trad en français par Dacier. 1778. Maestr. w 14 sporych tomach. 3 tal. 15 sgr.
— Żywot Cycerona, z przekł. francuzkim. 1861. Paris. 3 sgr.
— Żywot Cezara, ibid. 3 sgr.
— — Temistokla, Kamilla, Aleksandra i Cezara, z komentarzem łacińskim, wyd. Barby. 5 sgr.
— — Timoleona, Grachów i Brutusa, wyd. Fabricjusza. 5 sgr.
Podniesienie kości św. Stanisława Szczepanowskiego r. 1253. Poznań. 1860 2½ sgr.
Podróż z Włodawy do Gdańska powrotem do Nieborowa w r. 1816 — opisana w Listach. 7 sgr.
Poetical Epitome, or Elegant Extracts abridged 7 sgr.
— Chronology of Ancient and English history. 3 sgr.
Pol Wincenty. Przygody Bened. Winnickiego. 1857. 10 sgr.
— Pieśń o ziemi naszéj. 10 sgr.
— Sejmik jenerał. województwa ruskiego, odprawiony r. 1766 w Sądowéj Wiśni; sejmikowa tradycja Jmć pana B Winnickiego. 1855. Petersburg, wydanie osobne. 25 sgr.
— Obrazy z życia i natury. 1869. Krak. 2 tomy. 1 tal.
Poland, the count de, by Miss Minifie, one of the authors of Lady Caroline S. — w czterech tomach. 1780. 20 sgr.
Polidori Gaetano. Novelle morali. 2 tom. 5 sgr.
Politique du Cabinet Russe, par un Slave indépendant, 1847. 3 sgr.
Poli, Camillo v. Memoiren des Hauptmanns und Adjutanten unter Napoleon. Aus dem Franz. von Dr. A. T. Peucker. 1846. Berlin. 20 sgr.
Polnische Findling, der oder der Seelenwanderer. 1790. Altona und Leipzig. (Rzadkość). 15 sgr.
Polnische Insurrektionskrieg im Jahre 1794. Nebst einigen freimüthigen Nachrichten und Bemerkungen über die letzte Theilung von Polen. Von einem Augenzeugen. 1797. Berlin. (Rzadkość). 28 sgr.
Polska w 1863 roku. 1866. Lpsk. 10 sgr.
Polska Ziemia, w obrazkach Część druga, wydanie drugie pomnożone. 1850. Pzn. 7½ sgr.
Pompadour, marquise Lettres. Londres. 1776. (Rzadkość). 26 sgr.
— L'Histoire de M. la marquise de Pompadour — trad. de l'Anglais. 1759. 27 sgr.
Pompeii Commentum artis Donati ejusdem in librum Donati de Barbarismis et metaplasmis Commentariolum. 13 sgr.
Pomysły do ostatecznego uregulowania kwestji włościańskiéj. 1860. Poznań. 7½ sgr.
Ponsond, F. Horace et Lydie. Com. en un acte en v rs. 1851. Paris. 5 sgr.
Pontana Ludw. Zebrania Pana Jezusowego (niekomp.) 27 sgr.
Pope. Alexander. The select poetical Works. 1848. Leipzig. 10 sgr.
— The poetical Works — wyd. londyńskie w 2 tomach. 15 sgr.
Poppe, J H. M. Geschichte der Technologie. 1807. Göttingen. 3 tomy. 20 sgr.
Portsmouth Herzogin, oder geheime Liebschaften Karl II, Königs v. England. Z ryciną. 1795. 27 sgr.
Potocki, Bernard. Voyage dans une partie de l'Italie. 1825. 25 sgr.
Potworowska Helena. Zemsta Królowéj, podług Dickensa — i Fr. Skarbka Kasztelan opowiad. 1872. 10 sgr.
Poujoulat B. Geschichte des osmanischen Reichs — übers. von J. Seybt, 1853. Leipzig. 10 sgr.
Pradt. Mémoires historiques sur la révolution d'Espagne. 1816. 15 sgr.
Prat, Henri. Etudes Littéraires. XVI et XVII siècles w 4 tomach, opr. 2 tal.
Prawa kardynalne na prawie natury zasadzone. Rękopism z końca XVIII lub z pocz. XIX wieku. 5 tal
Prawa, konstytucje i przywiieje król. polskiego na walnych sejmach koronnych uchwalone. 1738. Warszawa. Tom V. 2 tal.
Preiss, Ch. F. Die neutestamentliche Bibel. 1811. Tom I. 5 sgr.
Prévost, l'abbé. Histoire de Manon Lescaut et du chevalier des Grieux. 1850. 10 sgr.
Projekt ustawy Zjednoczenia Polaków w Ameryce. 1870. Washington. 2½ sgr.
Projekt utworzenia kolonji z wychodźców polskich. 1 sgr.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.